

Kryzys parlamentarny

ANDRZEJ CHODACKI

Europoseł w skrojonym doskonale garniturze i otoczony gromadką klakierów opuszczał właśnie gmach sejmu.

– Panie pośle to... Panie pośle tamto... – gdakali klakierzy, utrzymując jego poczucie wartości na stale wysokim poziomie. A on łaskawie na to pozwalał, choć miał tylko niepełne średnie wykształcenie, a w podstawówce wołano za nim „mato” w związku z chronicznymi problemami z przyswajaniem wiedzy. No, ale tata był pierwszym sekretarzem wiadomej partii, więc zrozumiałą ambicją taty było, aby i syn został pierwszym sekretarzem. I tak też się stało. Partia taka sama, stanowisko podobne, ludzie jak dawniej zapewniali spokojny byt swoimi głosami wyborczymi. Wszystko w życiu europościa było skrojone na jego miarę, a i on kroił kraj bezlitośnie przy każdej nadarzającej się okazji. No, może tylko ten język obcy. Ciągłe miał problemy z nauczeniem się choćby kilku podstawowych słów. Stąd właśnie zatrudniał na stałe atrakcyjną blond tłumaczkę, która doskonale sprawdzała się w każdej sytuacji związanej z kontaktami w europarlamencie, a po godzinach zapewniała mu dodatkowo płatne usługi erotyczne na najwyższym poziomie. Żona wiedziała o wszystkim, ale pieniądze europościa były dla niej ważniejsze niż jakieś dyrdymały o wierności.

Kroczył więc przedstawiciel narodu sejmowymi korytarzami godnie, a ponieważ tępoty nie widać na zewnątrz, więc za pomocą tylko samego drogiego garnituru i sfory klakierów mógł bez przeszkód sprawiać wrażenie poważnego polityka. Gdy wyszedł na schody budynku sejmowego, poprawił krawat, przygotowując się do udzielenia kilku krótkich wywiadów w stylu: „staramy się i cały czas do przodu” albo „te zarzuty mają charakter polityczny”, zależnie od tego, czy go chwala, czy oskarżają o przekręty.

I tu pierwsze zdziwienie tego dnia uniosło brwi pościa w geście niezrozumienia. Na zewnątrz nie czekali na niego dziennikarze. Spojrzał na stłoczonych obok niego pomagierów, którzy mieli także głupie miny, choć jak zawsze odrobinę głupsze od pościa, bo tak przecież wypadało.

– Gdzie się podziali? – mruknął pod nosem, pakując się do czarnego audi A8, które podjechało pod schody.

– Gdzie pismaków wymiotło? – zapytał kierowcę, ale ten, mając ukończone trzy fakultety, w tym filozofię grecką, od dawna nie mógł się porozumieć ze swoim pracodawcą ze względu na znaczące różnice intelektualne, więc odpowiedział tylko zdawkowo:

– Może jakiś zamach terrorystyczny albo demonstracja?

I tu coś zaświtało poślowi, bo szybko włączył mały telewizor w siedzeniu luksusowego auta. Przerzucał kolejno kanały, nie znalazł jednak nawet wzmianki o zamachu, powodzi lub choćby tsunami. Niepokój wzbierał w nim powoli, na wzór lekkich podmuchów wiatru przed ulewą. Tym bardziej że w telewizji nie było także ani jednej debaty wyborczej, bloku politycznego lub starcia wrogich sobie partii. Szukał dalej nerwowo, przeglądając kolejne stacje telewizyjne i dalej nic.

Przecież to niemożliwe! Za miesiąc wybory!

Zrobiło mu się ciepło. Rozpiął koszulę i rozsunął krawat. Nagle natrafił na ranking przedwyborczy. Ożywił się, ale kiedy wpatrzył się bliżej w ekran, coś ścisnęło go za gardło. Musiał wyglądać naprawdę źle, bo kierowca zwolnił, widząc jego odbicie w lusterku, i zapytał szczerze zaniepokojony nie tyle o pościa, co o swoją posadę:

– Panie pośle, czy dobrze się pan czuje?

– Co? – wybełkotał polityk, nie mogąc oderwać wzroku od telewizora. Na małym ekranie słupki wyborcze kolejnych znanych w całym kraju partii nie przekraczały jednego procenta. Jednego procenta! To jakaś paranoja! Szybko przyjrzał się logo partii, mając nadzieję, że to jakaś pomyłka. Ale o pomyłce nie mogło być mowy. Jego partia, która jeszcze przed dwoma tygodniami miała 38% poparcia, teraz nie przekraczała progu wyborczego.

Telewizja pokazała reportera czatującego na przechodniów. Napotkani respondenci krótko rzucali coś do mikrofonu i oddalali się. Rozgłośnił telewizor. Reporter właśnie podchodził do kolejnego potencjalnego wyborcy z typowym w takich okolicznościach pytaniem:

– Na kogo zamierza pan głosować?

Mężczyzna wyglądający na inteligenta uśmiechnął się gorzko i odpowiedział zniecierpliwiony:

– No, chyba pan żartuje, drogi panie! – Po czym kamera zarejestrowała plecy oburzonego obywatela i głupawo uśmiechającego się reportera.

– Tak odpowiadają dziś wszyscy – zaintonował podekscytowany dziennikarz – to wprost niesłychane. Na miesiąc przed wyborami reprezentatywna grupa obywateli naszego miasta odpowiada wprost „nie pójdziemy do wyborów, to nie nasza sprawa”, a w innych miastach jest dokładnie tak samo...

Nagle rozdzwonił się telefon posła, znana melodia „Żono moja” wdarła się w dziennikarskie wywody. Poseł spojrział na ekran telefonu i nacisnął zieloną słuchawkę.

– Czy ty słyszysz, co oni pie...olą w telewizji?! – rzucił do słuchawki parlamentarzysta jak zwykle bardzo parlamentarnie. Był w końcu wybrańcem narodu, więc trudno się dziwić. – No po prostu och...ali, co to, ku...wa, jest, jakaś prowokacja służb czy co?!

Po drugiej stronie jakiś głos nerwowo szczekał z głośnika.

– Dobra, jadę do prezydenta, jak się coś dowiem, to ci oddzwonię – poseł zakończył rozmowę, czując, że robi mu się słabo. Grunt, w który wrósł i z którego czerpał, a właściwie ssał całe życie, teraz trząsał się, nie dając pewnego oparcia. Przecież miesiąc temu kupił swojej kochance mieszkanie w Paryżu. Z czego spłaci drugą ratę? Przecież te marne pięć tysięcy euro, które dostaje jako europoseł, to jakieś śmieszne grosze. Przed oczami stanął mu solidny odsyp za poparcie znajomego przy przetargu na autostradę.

A teraz, ku...wa, co?! Chłopki roztropki nie chcą głosować?! Po co oni, ku...wa, łążą po tych ulicach?! – Wściekał się w duchu, widząc, że samochód dojeżdża do bramy pałacu prezydenckiego. Ochrona sprawdziła ich dokumenty i wpuściła auto do środka. Szybko wkroczył do budynku i energicznie wpadł na salę obrad. Po kurtuazyjnym przywitaniu urzędników państwowych, zaczynając od prezydenta, usiadł na wyznaczonym miejscu i nerwowo stukał palcami w stół. Prezydent rozpoczął obrady po kilku minutach nerwowej dyskusji z ministrami resortów siłowych.

– Moi panowie – zaczął prezydent, wycierając nerwowo nalaną twarz – poprosiłem was tu, ponieważ wydarzyła się rzecz niesłychana, przy której powódź stulecia to błahostka. Mamy miesiąc do wyborów, a obywatele nie są zainteresowani głosowaniem na kogokolwiek. To jest jawny bojkot wyborów. I tu zadaję pytanie, kto za tym wszystkim stoi?! – Prezydent podniósł głos i potoczył wzrokiem po zebranych.

Minister edukacji przetarł okulary i zaczął się wiercić nerwowo na swoim fotelu.

– Proszę, panie ministrze, chciał pan coś powiedzieć? – zwrócił się do niego prezydent.

– Dziękuję, panie prezydencie. Otóż istotnie w historii powojennej naszego kraju, ba, przedwojennej także, a właściwie rzekłbym, w całej historii, nie zdarzył się jeszcze taki przypadek, aby obywatele całkowicie odmówili udziału w głosowaniu. Owszem, głosowali

przeciw, ale jednak szli do urn. Tego, z czym obecnie mamy do czynienia, nie można wytłumaczyć żadnym wybiegiem socjotechnicznym czy zbiorową manipulacją. Zwłaszcza że, co zapewne przyzna minister informacji krajowej, wszystkie media z 80% obłożeniem czasu antenowego miały nadawać programy wyborcze...

– Co na to prezes? – przerwał mu energicznie prezydent.

W fotelu po drugiej stronie stołu chrząkał bezradnie gruby jegomość z czerwoną od alkoholu twarzą.

– No, ale nikt tych programów od kilku dni nie ogląda, panie prezydencie, więc wstrzymałem nadawanie i przeszedłem na same reklamy, żeby chociaż trochę zarobić, zanim to wszystko pieprz... znaczy upadnie...

– Co niby pieprznie?! – grzmiał prezydent coraz bardziej zdenerwowany. – Minister obrony, proszę!

– Ja myślę, że trzeba wyprowadzić wojsko na ulicę i zrobić z tym porządek – krótko i po wojskowemu wypowiedział się minister obrony.

Prezydent mało nie zemdlał. Otworzył usta z zamiarem miażdżącej krytyki, ale chwilę później złapał się za serce i usiadł głębiej w fotelu. Kilku ochroniarzy podbiegło do niego, ktoś wzywał już lekarza, ale prezydent odgonił ich jak natrętne muchy.

– Panowie – zaczął słabym głosem, ale grobowa cisza potęgowała każde słowo – ciężko mi to przyznać, ale przyszedł czas, kiedy nie wystarczy już zdobyć mandat czy stanowisko. Dziś na nas właśnie, na ten sejm, ten rząd, przyszedł czas radykalnych zmian. Ludziom nie wystarczy już nasze gadanie. Przestali nam wierzyć. Chyba trzeba będzie wziąć się do jakiejś pożytecznej roboty.

Na sali zabrzączało jak w ulu.

– Jak to do roboty – skrzywił się minister rolnictwa – przecież my nigdy nie pracowaliśmy. Takie były przecież założenia, tylko pozoracja, kilkadziesiąt ustaw w roku, pod koniec roku wszystkie ustawy do kosza, tak pan przecież mówił – z wyrzutem wyciągnął ręce w kierunku głowy państwa.

– Wiem, co mówiłem – uciał prezydent – i tak do tej pory przecież było. Ale się skończyło. Samemu mi ciężko, dotąd przecież tylko ułaskawiałem bandytów, a teraz... – głos mu się załamał.

– Widzę, że nikt nie ma żadnego rozsądnego pomysłu – dodał, spoglądając z wyrzutem na ministra obrony – więc zarządzam spotkanie za tydzień w tej sali. Jeżeli nie zrobimy czegoś dla ludzi, to wszyscy skończycie na bruku. Bo co wy naprawdę umiecie robić, oprócz politykowania?

Nikt nie odpowiedział, europoseł opuścił wzrok.

– No właśnie – dodał gorzko prezydent wstając – żegnam panów!

I łamiąc wszelkie zasady kultury parlamentarnej, nerwowym krokiem wyszedł z sali, nie żegnając się z nikim.

Ciemne chmury zawisły nad zgromadzeniem wybrańców narodu. Po raz pierwszy od lat głęboki smutek i lęk o przyszłość zagościły w ich sercach. Zrobić coś pożytecznego dla ludzi.

Ale jak?

Opowiadanie wyróżnione w kategorii społeczeństwo w Konkursie Literackim Myślenie Niekontrolowane 2012.